

RECENZJE I OMÓWIENIA

Fascynujący świat nowego mitu

Fantasy jako Dobra Nowina, red. Małgorzata Mikołajczak, Paweł Urbaniak, Wałbrzych 2005, 124 s.

Na początku w Kole Literaturoznawców Uniwersytetu Zielonogórskiego zrodził się pomysł. Następnie postanowiono go zrealizować. Zorganizowano konferencję, której owocem stała się książka *Fantasy jako Dobra Nowina*, zredagowana przez Pawła Urbaniaka i Małgorzatę Mikołajczak. Dlaczego akurat fantasy? Ponieważ taka właśnie literatura, jak twierdzą autorzy, zdaje się być odpowiedzią na czytelnicze wymagania dzisiejszej doby.

Książka jest swoistą podróżą poprzez krainę fantasy. Kolejne artykuły wprowadzają czytelnika w świat magii, czarów, elfów etc. Autorzy, wśród których odnajdujemy znakomitych profesorów i nietuzinkowych studentów, rzeczowo omawiają zapowiedzianą w tytule problematykę.

W artykule, który otwiera publikację, Anna Szóstak przywołuje tradycję genologiczną i ukazuje miejsce fantasy wśród literackich gatunków. Tego typu literatura - informuje badaczka - stara się przede wszystkim wyjaśnić otaczającą nas rzeczywistość, podobnie jak niegdyś czyniły to baśnie i mity. Jest zatem współczesnym mitem. Mitem, który jak wszystko co nas otacza, wywiera pewien wpływ na czytelnika. Na przykładzie dzieci i młodzieży autorka kolejnego artykułu, Edyta Rudolf, stara się pokazać, jak literatura fantasy oddziałuje na młodego człowieka. Każda z przeczytanych książek kształtuje bowiem, przypomina autorka, naszą osobowość. O tym, że wzorce czerpać możemy z wielu źródeł, pisze również Justyna Zbączyński. Badaczka omawia przy tym ważny element scalający niemal wszystkie utwory tego gatunku, a mianowicie motyw podróży-wędrowki, która ma swój cel; która dookreśla bohatera i, co więcej, zmienia go.

Bohaterem inego z artykułów jest... wampir. Na przykładzie twórczości Andrzeja Sapkowskiego Barbara Przybylska ukazuje proces kulturowej transformacji wampirycznego wzorca i odejście autora od konwencji. Autorka uważnie przygląda się literackiej kreacji Regisa, aby stwierdzić, jak dalece ów wizerunek odbiega od znanych nam stereotypów; jak śmieszne są zachowania tego nietypowego wampira, by wreszcie zauważyć, że znacznie bliżej mu do anonimowego alkoholika, aniżeli znanego nam „potwora”. Zabawę konwencjami literatury fantasy ukazuje także, tym razem na przykładzie *Świata Dysku* Terry'ego Pratchetta, Paweł Urbaniak. Sięgając do genologicznych przesłanek autor podkreśla, że światem fantasy włada patos, który swą pełnię uzyskuje w odmianie *high fantasy*. Przywoływany jednak przez niego *Świat Dysku* od schematów odstaje i to zasadniczo. Charakteryzuje go, pisze Urbaniak, styl niski, a dominantę stanowi tu humor. Autor skupia się na jednej z postaci scalającej cały cykl, a mianowicie Śmierci. Ta kreacja nasuwa wątpliwość, czy cykl Pratchetta możemy jeszcze zaliczać do literatury fantasy, zdaniem badacza jest on jedynie jej trawestacją.

W książce poświęconej fantasy nie mogło zabraknąć artykułów poświęconych powieściom Tolkiena. Tą twórczością zajęli się Tomasz Wojnarowski i Artur Telwikas. Pierwszy zastanawia się, czy jeden człowiek (tu: Tolkien) jest w stanie stworzyć całą mitologię Anglii. Odwołuje się przy tym do wpływów biografii autora na powstające dzieła i różnicuje pojęcia: „mitologia Anglii” i „mitologia dla Anglii”. Całość zwieńczona zostaje zwrotem ku źródłom, którymi są *Listy* Tolkiena. Tematem artykułu Telwikasa jest natomiast świat przedstawiony *Władcy Pierścieni*. Badacz zasugerował, by spojrzeć nań z perspektywy jungowskiej psychologii głębi i zastanowić się nad procesem indywidualizacji, który opisuje relacje między tym, co indywidualne, a tym, co zbiorowe w psychice. Wywód jest bogato lustrwany literackimi przykładami. W tym miejscu warto wspomnieć o artykule, w którym oprócz obrazów literackich pojawia się swoiste novum - własne ilustracje autorki. Mowa o tekście Kornelii Mireckiej, dotyczącym organizacji przestrzeni w książkach typu fantasy.

Publikację zamykają przemyślenia Renaty Pawliszko, zastanawiającej się nad przyczynami popularności Harrego Pottera. Co przesadza o atrakcyjności tej książki? Między innymi niebagatelna rola dialogów, stanowiących aż 3/4 objętości tekstu. Autorka zwraca ponadto uwagę na jasny i zrozumiały język powieści. Niepokoi ją jednak fakt, iż język dwóch ostatnich tomów stał się dużo bardziej brutalny i wulgarny. Co ciekawe, zmienił się także sposób przedstawiania zła, które uległo „osłabieniu i strywializowaniu”.

Dziewięć artykułów stanowiących całość pokonferencyjnej publikacji poświęconej fantasy z pewnością przyciągnie uwagę miłośników tego typu literatury. Koneserowi lektura książki pomoże usystematyzować zdobytą wcześniej wiedzę; temu natomiast, kto dopiero wkracza w świat elfów, wampirów i magii, ukaże najważniejsze cechy tej krainy. *Fantasy jako Dobra Nowina* może być bowiem potraktowane jako swoiste minikompendium wiedzy. Kompendium, w którym wszystkie stanowiska i poglądy ilustrowane są literackimi przykładami i odwołaniami do tradycji gatunku, a rzetelnie opracowana bibliografia odsyła do bogatego już dorobku gatunkowego. Na koniec dodajmy, że książka nie powstałaby, gdyby nie działalność Koła Literaturoznawców Uniwersytetu Zielonogórskiego. Jego członkom pozostaje życzyć kolejnych, tak interesujących, jak ostatnia konferencji i - jako jej owoców - następnych publikacji.

Marcin Jerzynek

Urodziłem się w niewłaściwym miejscu i czasie: Kolumbowie (rocznik 1970) bis? Czyli paradoksów polskiego losu ciąg dalszy

(Piotr Czerwiński, *Pokalanie*, Świat Książki, seria: Nowa Proza Polska, Warszawa 2005, 258 s.)

Sytuacja pokolenia urodzonego na początku lat siedemdziesiątych, a więc pokolenia dzisiejszych trzydziestoparolatków wydaje się zaskakująco podobna do sytuacji pokolenia debiutującego u schyłku lat sześćdziesiątych. O tym pokoleniu, zwanym pokoleniem 1968, jego przedstawicielka, Ewa Lipska, pisała w słynnym wierszu „My”:

My – rocznik powojenny otwarty na oścież
w pełnokomfortowym stanie swojego ciała
Czytamy Sartre’a i książki telefoniczne
Rozważamy uważnie wszelkie trzęsienia ziemi
My. Rocznik powojenny ze spokojnych doniczek.
Wyprowadzony z bezspornych statystycznych wyliczeń.
Nie dosłyszany w hałasie początku.
Cierpiący na bezsenność i do ćmy podobny.
Powołany do koncentracji nad.

[...]

My zazdrościmy tym
którzy w wysokich sznurowanych butach
przeszli przez wojnę

Nijakość i szarość pozornie spokojnego życia zabijają poczucie jego celowości i sensu, prowadząc Lipską do prowokacyjnej deklaracji uczestnictwa w wielkich wydarzeniach historii – choćby nawet tak tragicznej, jaka przypadła w udziale generacji wojennej.

W książce Piotra Czerwińskiego (rocznik 1972), warszawskiego dziennikarza i publicysty, który zdecydował się wyrazić pokoleniowe samopoczucie w debiutanckiej powieści „Pokalanie”, znajdujemy podobną analogię i skalę porównawczą – kontrapunktem dla sytuacji młodych wkraczających w dorosłość w przełomowym momencie zmian ustrojowych i społecznych w roku 1989 staje się

znowu biografia Kolumbów. Ojciec bohatera to właśnie przedstawiciel tej generacji – pokolenia nazywającego siebie straconym, ale jednocześnie pokolenia z biografią, mającego swój udział w historii, tworzącego ją i kształtującego, choć marnie na tym wyszło:

„Ojciec nie miał kasy, ale miał dużo orderów z wojny. To było wszystko, co z niej miał. Miał Polonię Restitutę, Walecznych, Krzyż Partyzancki i AK. Poszedł więc ze mną do antykwariatu, bo ja miałem lepsze oczy. [...] Za Partyzancki nic mu nie dawali, a za Restitutę chcieli mu dać dwadzieścia pięć tysięcy. Tyle kosztował zestaw w Makdonaldzie. Ojciec wściekł się i nie sprzedał Restituty. Szedł z nią Krakowskim Przedmieściem i podrzucił na dłoni. Gdy mijaliśmy Pałac Prezydencki, zatrzymał się i zamachał orderem w stronę okien.

– Gdyby nie moje dwadzieścia pięć tysięcy – wrzasnął i pokazał wała – tobyście mieli taki chuj, a nie Polskę!” (s. 200).

Tym wątpliwym przywilejem wpływu na historię nie zostanie jednak obdarzony jego późny potomek – za młody na kombatanta (nie wielkiej wojny rzecz jasna, ale chociażby stanu wojennego...) , za stary zaś, by zrozumieć nowe czasy, w których żyje, a raczej wegetuje (w sensie egzystencjalnym jednak, nie materialnym, bo radzi sobie całkiem niezłe) z pytaniem: „co zrobiłem, że mnie tak dręczy zasrana, zakrwawiona historia tego kraju? Ten śmierdzący kicz, jedna wielka tysiącletnia wojna?” (s. 58).

Pozorny luz i tumiwizizm kryją wściekłość, frustrację i gniew – wyrażane bardziej poprzez język i formę, niż *expressis verbis* – że ta rzeczywistość, której tak wyglądało pokolenie rodziców i dziadków, nie jest tą, o jaką walczyli.

Kolejny paradoks polskiego losu? Kolejni Kolumbowie, odkrywający przypadkiem nie ten ład, o który im chodziło?

Jak rozsupłać ten zaplątany węzeł polskich dziejów wyrażany przez ulubiony i nadęty patos, którego bohater i narrator jednocześnie bezskutecznie próbuje się wyzbyć, wspominając i analizując czasy, kiedy wszystko wydawało się na niby, a – jak się później (to znaczy z dzisiejszej perspektywy) okazało – nigdy nie było bardziej autentyczne. Z jednej strony byli czasami bardzo na (źli), z drugiej – my (dobrzy): świat jasno określonych wartości; z jednej – bieda i beznadzieja, ale też idee, dla których warto było żyć – to niedawne jeszcze wczoraj , z drugiej – dziś: nachalna i unifikująca kiczowata popkultura, wirtualny świat gier i reklam obiecujących wniebowstąpienie i totalna bezideowość w miarę dostatniego życia, w którym prawie każde pragnienie można zaspokoić natychmiastowo i bez wysiłku.

Chłopiec, który w 1984 biegał po podwórku bawiąc się w Amerykę („By być bliżej świata, w którym wszystko będzie ze złomu, kupujemy na bazarze puste puszki po zagranicznym piwie. Niektórzy nalewają do nich wody i chodzą po podwórku, bawiąc się w podwórko zagraniczne. Taki jest trend” s. 65), po piętnastu latach z gorzką satysfakcją spuentuje sen zamieniony w rzeczywistość:

„Na podwórkach zaroi się od bezrobotnych facetów, którzy siedzą całymi dniami na ławkach i piją piwo z puszek. Jak się nawala, zbierają złom. W dalekiej przyszłości, w innej galaktyce, pewien frajer nakręci film o takich pijakach złomiarzach. Film będzie w tamtych czasach bardzo na czasie i nominują go do Oscara. Nie dostanie go; będzie za mało trendowy dla jurorów, którzy nigdy nie musieli bawić się w Amerykę, ponieważ mieszkali w niej przez całe życie” (s. 65)

Powieść Czerwińskiego drażni, przeszkadza, nie pozwala na bezmyślne samozadowolenie, czasem po prostu wkurza (autor wyraziłby to dosadniej, czego bardzo często nie omieszka czynić), niewątpliwie jednak jest jakąś próbą oddania, całościowego na pewno nie, ale fragmentarycznego, rozbitego na kawałki i mimo wszystko w dużej mierze reprezentatywnego, stanu świadomości młodych ludzi, którzy w dorosłość weszli po przełomie 1989 roku, skazani na przyjęcie go z całym (znowu wątpliwym jak się przekonujemy na własnej skórze) dobrodziejstwem inwentarza. „Pokalanie” to próba rejestracji nie tylko pewnej tworzonej przez młodą inteligencję subkultury, jej obyczaju, mody, stylu życia, ale także zmian w mentalności, sposobie myślenia i postrzegania ludzi i świata. Tę zmianę znakomicie widać na przykładzie języka – chwilami tak odrębnego, hermetycznego i slangowo zangielszczonego, że aż trudnego do rozszyfrowania.

Spoza tej specyfiki, będącej mieszaniną wulgarności i inteligentnego ciętego sarkazmu wyziera jednak czasami skrzętnie maskowany liryzm i tęsknota za czymś, czego potrzeba każdemu pokoleniu młodych Polaków – za iskrą, fantazją, duchem. Nie cynik wszak, lecz czystej wody romantyk (ciągle jeszcze romantyk!) tylko może być autorem tej frazy: „Jak pięknie jest myśleć o przyszłości,

której nie ma jeszcze w plecaku, przygniatającym nas do ziemi” (s. 95). Czerwiński bardzo się jednak pilnuje, by nie odsłonić przed czytelnikiem tej romantycznej duszy, którą na ogół skutecznie skrywa pod rynsztokowym polskim abecadłem: g..., k..., ch..., p...

W urywanych, szarpanych fragmentach tekstu, przeskakując od jednego do drugiego, mniej lub bardziej zabawnego, incydentu z życia bohatera, zapisuje autor „Pokalania” kronikę naszej rzeczywistości, a właściwie kronikę jej postępującej degrengolady, atrofii zasad, paraliżu moralności; rzeczywistości, w której „cholernie trendowa robi się przestępczość” (s. 117), a to, co wesołe, tak naprawdę jest smutne – w życiu coraz bardziej przypominającym komputerową grę, w której, jeśli to nie ty zabijesz – zabiją ciebie. I nawet hektolitry alkoholu nie są w stanie stłumić tęsknoty za normalnością, miłością, światem przyjaznych uczuć, których pokalanemu pokoleniu rocznik 1970 nie było dane zaznać i pewnie nie uda się doczekać.

Z jakąś masochistyczną zajadłością rok po roku rekonstruuje biografię swego pokolenia, dokonując na sobie samym bolesnej wiwisekcji, za każdym razem sprowadzającej się do wytyczenia nowej linii podziału, bo nic nie daje się złożyć w całość. Przebiega ona już nie przez granicę, po obu stronach której są oni i my, ale tą oddzielającą nieciekawą przeszłość od jeszcze bardziej nieciekawej teraźniejszości, kiedy „Piwo w puszkach będzie leżało w każdym sklepie obok bananów, pomarańczy i szynki, których nigdy tam nie było, i właśnie wtedy zrozumiemy, że wszystkiego tego jest w pytę, tylko, że my nie mamy już na nic kasy” (s. 72).

Generacja rocznik 1970 nie jest grzeczna: żyje ostro – ostre jest picie, ćpanie, wrywanie bezmyślnych pańienek, pozbawiony uczuć seks – ostro i... bezcelowo, a właściwie – żyje, ciągle tego celu poszukując. To pokolenie, w którym szczęśliwi są tylko ci, co „mają wszystko, czego dusza zapragnie, z wyjątkiem duszy” (s. 205). Cała reszta, a więc autor i jego bohater – to frustraci, (jeszcze) piszący i czytający książki, bogaci jedynie w wiedzę, że „tu nic nie działa tak, jak tego uczyli w szkole” (s. 206). A życie jest jak ograny film puszczany ciągle od nowa: „Nie ma przyszłości, nie ma przeszłości. Nie ma sensu i nie ma nic [...] Żyjemy, żyjemy, będziemy żyli. Jaka szkoda, że nikt nie umie osiągnąć tego stanu na trzeźwo” (s. 209).

Czerwiński – facet z duszą, czyli gatunek wymierający, jak powie o sobie słowami bohatera, „skazany na rzeczywistość, w której brakuje dla mnie miejsca” (s. 212), bo nawet słowa nic już dziś nie są warte, „zupełnie się zeszmaciły. Tyle razy wytarto sobie nimi gębę. Mamy wiele takich słów, które kiedyś były dużo warte i miały jakieś znaczenie, a dzisiaj są jak chustka do nosa. Mamy słowo >życie<, mamy słowo >śmierć<. Mamy >radość< i >szczęście<. Mamy dużo takich słów. A właściwie powinienem powiedzieć, że mieliśmy. Bo ja ich już nie rozumiem” (s. 236).

Czerwiński w tej mocnej, dobrej prozie wylewa całą żołąć, jaka zebrała się w społeczeństwie, w którym po historycznych przemianach miejsce na szczycie społecznej drabiny zajęli „młodzi, przedsiębiorczy, beznadziejnie przebojowi gnoje, którzy rozwalają wszystko, co stanie im na drodze do kariery” (s. 212).

Totalne czarnowidztwo i pesymizm zyskają jednak ostatecznie podnoszący na duchu happy end, a czytelnikowi nie zadowolonemu z takiego zakończenia pozostanie na pociechę krzepiąca solidarność wszystkich pokoleń urodzonych w naszym pięknym kraju, którym – tak się jakoś dziwnie składa – nigdy nie było po drodze z rzeczywistością, w jakiej przyszło im żyć.

Anna Szóstak

Rezension zu: Gisela Waligora „Die spaziergängerin von F. mehr oder weniger heitere memo arien”, Jacobsdorf 2005, Verlagsservice OderSpree

Die Zeiten, da Volker Braun mit seinen Gedichten Publikum anlockte, das Turnhallen füllte, sind vorbei. Der Satz, daß Gedichte kaum Publikum haben, ist zum Allgemeinplatz geworden. Ja manche meinen schon, nur die, die selbst Lyrik verfassen, lesen noch die Gedichte ihrer Kollegen.

Viele zu schnelllebig, viele zu bebildert ist unsere Umwelt geworden. Wir wollen, was wir lesen, schnell verdauen können. Viel Information bei möglichst wenig Text sind gefragt und bitte keine Reflexionen. All dies erfüllt Lyrik nicht.

Dennoch entstehen immer wieder Gedichte und die finden zu ihren Lesern - man könnte es ein Wunder nennen.

Gisela Waligora, die ehemalige Bibliothekarin, hat sich zu ihrem Gedichtband wohl mehr oder weniger überreden lassen. Sie traute den eigenen Texten nicht, befand sie für nicht wichtig genug. Wenn man das nun erschienene Bändchen in die Hand nimmt, wird man dieses Mißtrauen ganz und gar unbegründet findet.

Die hier spricht und dichtet, tut dies mit eigener Stimme und eigenem Blick auf die Welt, die ihr zumeist Brandenburg heißt (oder gar Frankfurt an der Oder) und die sich vorrangig im (Spät)Sommer abbildet.

Fein geschliffene Perlen sind diese Texte. Befreit von allem Überflüssigen. Oft bis auf eine einziges Wort in einer Zeile reduziert. Und viel Luft ist da und vielerlei Vögel, was natürlich gut zusammen paßt. Das macht die Texte durchscheinend und was hindurch scheint ist Muße, die die Autorin wohl hatte, beim Schreiben und die sich nun, beim Lesen überträgt. Nur mal so nebenbei sollte man diese Gedichte nicht lesen, denn sie brauchen Zeit.

Carmen Winter

Recenzja tomiku wierszy Giseli Waligory *Mniej lub bardziej wesole wspomnienia spacerowiczki z F., Jacobsdorf 2005, Verlagservice OderSpree*

Minęły już czasy, gdy Volker Braun przyciągał publiczność swoimi wierszami i zapełniał nią sportowe hale. Dziś panuje powszechne mniemanie, że wiersze już prawie nie przyciągają publiczności. A niektórzy wręcz uważają, że wiersze swych kolegów czytują jedynie ci, którzy sami zajmują się liryką.

Świat wokół nas żyje zbyt szybko i zbyt obrazowo. Chcemy móc szybko trawić to, co czytamy. Chcemy maksimum informacji przy minimum tekstu, oczywiście tylko bez refleksji. Liryka nie spełnia tych wymagań.

Mimo to wciąż powstaje wiele wierszy znajdujących swych czytelników - fakt ten można by nazwać cudem.

Gisela Waligora, była bibliotekarka, dała się chyba w większym lub mniejszym stopniu przekonać do swego tomiku wierszy. Nie mając zaufania do własnych tekstów uważała je za niewystarczająco ważne. Ale gdy tylko weźmiemy do ręki ostatnio wydany tomik, natychmiast stwierdzimy, że jej brak zaufania jest całkowicie nieuzasadniony.

Autorka pisze i tworzy, czyni to własnym głosem i z własnego punktu postrzegania świata, najczęściej noszącego miano Brandenburga (albo nawet Frankfurtu nad Odrą), świata z okresu przede wszystkim (późnego) lata.

Teksty te to perełki. Wolne od wszystkiego, co zbyt techniczne. Ograniczone często do pojedynczego słowa w wersie. Pełne powietrza i ptaków, wspaniale do siebie z natury pasujących. Dzięki temu przejrzyste są teksty, z których wyziera lekkość, z jaką autorka pisze swe wiersze i jaką przekazuje czytelnikowi. Tych wierszy nie można jednak czytać ot tak sobie, wymagają czasu.

Carmen Winter
Tłumaczenie Bogumiła Husak

Nowa poetka

Małgorzata Stachowiak, *O czymś*, Liberum Arbitrium 2005

Bez wątplenia to udany, a może nawet bardzo udany debiut. Debiut, który już dużo spełnia, a jeszcze więcej zapowiada.

Myślę tutaj o wydanych niedawno wierszach Małgorzaty Stachowiak, urodzonej i mieszkającej, jak głosi jej notka biograficzna, z rodziną i trzema kotami w Sulechowie. Poetka od kilku lat regularnie publikuje na łamach literackich periodyków, w różnych antologiach i almanachach i zgodnie z modą w „prasie internetowej”. Jest laureatką wielu konkursów poetyckich. Samodzielny debiut, pierwsza książka to jak pierwsze wyjście samemu na scenę i zaprezentowanie się twarzą w twarz publiczności.

Już tytuł zbioru „O czymś” intryguje i zastanawia. To są wiersze o czymś bardzo istotnym, najważniejszym, czyli o naszym życiu. O życiu, które toczy się pomiędzy sacrum a profanum. Z kuchni widać kościół, a okna w pokoju wychodzą na podwórko i odwiedzany codziennie śmietnik. Stachowiak rzadko zapuszcza się poza ten obszar. Pozornie mały, a w rzeczywistości ogromny. Skupia uwagę na rzeczach codziennych, rutynowych, na zachowaniach i gestach niemal odwiecznych, które dla bohaterów jej wierszy i dla niej samej - lirycznego podmiotu są sensem życia. Żadna ze scen nie wydaje się być zmyślona. Nawet zabawa dzieci w „Piaskownicy”, jest zabawą w „mamę i tatę/ w sąsiadów/ w ciebie”. Nieprawdziwe zjawia się tylko w śnie.

Miejsce, w którym żyjemy, jest dla nas jedyne i wyjątkowe. Stanowi centrum świata, choćby było całe w zasięgu wzroku. Na dłoni. Obrazy z dalekiego świata, które pojawiają się na ekranach telewizorów, absolutnie wystarczą. Wie o tym poetka doskonale.

„Doświadczenia metafizyczno-egzystencjalne
ograniczam
do sprawdzenia rano
swej obecności w lustrze...”

Życie na tej niewielkiej przestrzeni jest zwyczajne, przyziemne, wręcz pospolite. Poetka dostrzega w nim jednak dramaturgię, ruch, wielowymiarowość, barwę, zapach. Każdy z nas jest najmniejszą, ale zarazem dla siebie najważniejszą, niepowtarzalną częścią ludzkości. Nawet ten pijaczek z czwartego piętra, „bez górnych jedynek” któremu wydaje się, że żyje najbliższej Pana Boga i „nałogowo przynajmuje w domu świadków Jehowy”.

W wierszach Stachowiak bardzo wyraziści są ludzie. Z wieloma swoimi zaletami i przywarami. Występują często z imienia i nazwiska. Jest „Pan Stasiek z dołu/ co dał się złać gaśnicą żeby przyjść na wódkę”. Pani Rena z wiersza pod takim samym tytułem, która w tajemnicy przed mężem „prze-farbowała szare dni na platynowo” i „złotnie gubi sztuczną rzęsę”. Jest „kolega prawnik”, który mógłby się od pana Staśka uczyć, jak należy pić z plastiku. Jest Mirek, z którego „nie został kamień na kamieniu/ ...pod sklepem GS-u”. Jest chłopak, który w kawiarni poetce chce zaimponować wiedzą o Sokratesie, a ona dyskretnie zerka na swoją nogę, bo: „na lewej kostce/ poleciało oczko w rajstopach/ cholera założonych pierwszy raz na tę okazję”. Są sąsiedzi. Znajomi. Są z pewnością jakieś realia sulechowskie, które tu nie mają większego znaczenia. Autorkę „O czymś” interesują ludzie, ich zachowania, relacje wzajemne, przyzwyczajenia, kompleksy, marzenia, a pejzaż jest dopiero na końcu.

Stachowiak jest poetką, bo patrzy na wszystko dookoła uważnie i przenikliwie. Widzi bardzo dużo. W pozornie zwykłej szarej magmie naszego codziennego bytowania pomiędzy owym kościołem a owym śmietnikiem dostrzega rzeczy wyjątkowe, których wielu nigdy nie spostrzeże, nad którymi zwykle przechodzimy szybko i obojętnie. Krótki, lakoniczny, czasem na pograniczu reportażu, opis jakiegoś gestu oddaje wewnętrzny portret człowieka. Resztę autorka pozostawia wrażliwemu odbiorcy.

Także pilnie słucha, a słuch ma dobry. Dotyka, wącha. Jest bardzo uczulona na zapachy. Te różne zapachy, z których również składa się nasza rzeczywistość, mało obecne w dzisiejszej poezji, a tak eksponowane chociażby w poezji Wojaczka, dodają urody wierszom poetki z Sulechowa.

Stachowiak nie kokietuje, nie udaje, że jest inaczej niż jest, przyznaje się do swojej zwykłości. Wie, co się dzieje po latach nawet z największą miłością:

„Może lepiej się teraz rozstańmy
zanim stanie się coś
okropnego
Na przykład odkryjesz
że nie zawsze noszę jedwabną bieliznę
albo twoje brudne skarpetki
to będą już tylko brudne skarpetki”.

„O czymś” jest również o starości, której, jak wiadomo od zawsze, nie można zapobiec, przed którą w sposób naturalny nie można uciec. Jest nieuchronna. Poprzedza śmierć. Starość, mawiają, najmniej udała się Panu Bogu, który miał stwarzać świat w swoim młodym wieku i starości sobie nie wyobrażał. A może pierwotnie miało jej nie być. Starość, która przychodzi wolno, w rzeczywistości nas zaskakuje. Stare małżeństwo w wierszu „Czterdziesta rocznica ślubu” „pachnie kawą” i „nałogowym milczeniem”. Żyje razem, a równocześnie obok siebie. On ogląda dzienniki, ona telenowe. Wspólnie jedynie dźwigają „czternaście tysięcy dni/ jak reumatyzm, nadciśnienie, jak odciski na stopach”. Gdyby w tym momencie kończył się ów wiersz, można by napisać, że poetka niczym nas nie zaskoczyła. Są to fakty powszechnie znane. Stachowiak jest jednak poetką, więc puentuje:

„Gdyby spróbować ich wyleczyć
mogliby umrzeć z miłości”

Ogląd ludzi starych, starości jest pełen ciepła, serdeczności jak w słynnym „Dytyrambie na cześć teściowej” Różewicza.

Śmierć ludzi kojarzy się poetce ze śmiercią zwierząt, które jeśli nie myślą, chociaż to nie jest takie oczywiste, to czują. Posiadają, jak my, ogromny instynkt życia. Wystarczy popatrzeć na walążące się po podwórkach koty, nierzadko stare, chore, głodne, a jakże one chcą żyć. Zachować gatunek. W wierszu tytułowym, jednym z najlepszych w zbiorze, poetka stwierdza:

”może to nie ważne
że konie do rzeźni dają się wieźć w milczeniu
za to bardzo śmierdzą
żebym mogła powiedzieć
że boję się śmierci”.

To takie obrazy, refleksje, spostrzeżenia przede wszystkim dowodzą, że mamy do czynienia z prawdziwą poetką. A nie tylko z kimś, kto pisze wiersze.

Niektóre wiersze Stachowiak wydają się być poetyckimi reportażami w miniaturze. To nie zarzut, a konstatacja. Taka jest w dużej części nasza dzisiejsza poezja. Tak się dziś również pisze w świecie. Pomiędzy tak zwaną poezją a tak zwaną prozą granica jest często płynna i umowna. Zacierają się i mieszają gatunki literackie. Język kolokwialny, czy wręcz obsceniczny już dawno wtargnął do poezji. Stachowiak broni się metaforami, skrótem, zaskakującą puentą. Nie mam jednak wątpliwości, że wkrótce zacznie pisać prozę, jeśli już nie pisze. Takiej kondensacji obrazów i refleksji po prostu nie udźwignie. A literacki plodozmian często przynosi interesujące efekty.

Sporo w wierszach Stachowiak dystansu do siebie, do swoich wierszy. Poetka nie stroi się w laurów listki, twardo stąpa po ziemi. Zdaje sobie sprawę, że konkursowe sukcesy, o których wiedzą tylko nieliczni, co najwyżej wyznaczają lokalne poetyckie hierarchie bez praktycznego znaczenia. Z dyplomem i niezbyt grubą kopertą, bo nagrody w takich konkursach są symboliczne, powraca się do domu, do normalnej zawodowej pracy. W przypadku autorki „O czymś” będzie to „Galeria 24” w Sulechowie.

W puentującym tomiku wierszu ze szczyptą humoru informuje, że „dzięki konkursom literackim płaci raty”. I że „może „przyglądać się żywym obrazom / pod nazwą/ Polscy Poeci Współcześni”. Nie mam wątpliwości, że przybyła nam jeszcze jedna autentyczna poetka, która wkrótce sama stanie się tym „żywym obrazem pod nazwą...”

Janusz Koniusz

Recenzja i nie recenzja

Nadzieja Łukaszewska, *Piosenka mojego życia*, Zielona Góra 2005, Wydawnictwo „Organon”, 50 s.

Starania wydawnicze „Jeszcze Żywych Poetów” w tym roku są niebagatelne. Wygląda na to, że mamy teraz do czynienia ze swoistym podsumowywaniem kilkuletniej działalności. Po opub-

likowaniu antologii „Poddasze poetów” przyszedł czas na zbiory indywidualne. Wychodzą trochę jakby hurtowo, bo w przeciągu kwartału cztery tomiki, ale cóż, skoro ludzie piszą i znajduje się na druk finanse, to oczywiście wypada tylko realizować słuszne oczekiwania swoich członków. Jeśli dobrze jestem poinformowany, w niedługim czasie mają się ukazać zbiorki następne. Wszystkie wypuszcza w obieg Wydawnictwo „Organon”, z nieco skromniejszą, by zmieścić się w kosztach, okładką, ale z zachowaniem wszystkich innych wymogów edytorskich, np. nie zapominając o karcie przedtytułowej czy zadbania by druk szedł na jednym poziomie, co jednak jest ważne. Jedną rzecz tylko jest nieodzowna, publikacja musi się artystycznie bronić. Tego o zbiorku Nadziei Łukaszewskiej „Piosenka mojego życia” chyba nie da się powiedzieć. Ale zaraz wyobrażam sobie, że argumentem mógł tu być wiek autorki, „najstarszej poetki” stowarzyszenia, urodzonej „w 1923 roku w małej wiosce Wierchosień pod Moskwą”. A poza tym mamy do czynienia z tzw. „późną twórczością”. Książka, która została wydana jest bowiem jej debiutem. W tym sensie jest to ewenement. Nie chcę tu nazbyt ujawniać swojego krytycyzmu, bo to chyba nie na miejscu, ale trzeba powiedzieć, że z jednej strony bardzo potoczne tu widzenie, bez sięgania do głębszych myśli i przeżyć, a z drugiej język poetycki nie wytwarza też żadnych specjalnych napięć, symboliczności, jest takim codziennym mówieniem, czy to o porach roku, własnym życiu, jakichś okolicznościowych sytuacjach i zwyczajach. O wszystkim tym, co może na co dzień cieszyć lub smuć. Towarzyszy temu racjonalne, zdroworozsądkowe podejście do życia. Jej poezja mimo że ubrana w szatę współczesnej poetyki, nierówności wersyfikacyjnej i wolna od rymu (chyba jednak dobrze, bo nie wiem czy dałoby się wtedy ją czytać), a więc jakby nie schematycznie tradycyjna (nie za dużo tu zużytych metafor i porównań), to jednak zdradza pewne pokrewieństwa z tropami poezji ludowej, śpiewanej tudzież poezji klasycznej w przywoływanych zwrotach, np. „Za gór zza rzek / Idzie Pani wiosna zielonooka”. Dużo tu kolorów, kwiatów, w ogóle natury, obserwacji, dookolnych rzeczy i krajobrazów, ale pokazywane są tak jak je pokazuje malarz amator, bez wnikliwej obróbki. I oczywiście może takim obrazem, a w przypadku poetki ze Świdnicy wierszami, towarzyszyć jakies piękno. Które akceptują odbiorcy o niezbyt wygórowanych ambicjach. Czasami mogą szczęśliwie, przypadkowo, nawet trafić się czyste perełki. Godne miana prawdziwej poezji. W przypadku Nadziei Łukaszewskiej nie tyle jednak może się wydać frapująca poezja, co jej życie. I gdyby chciała i mogła je w miarę szczegółowo, przynajmniej niektóre jego epizody, spisać, przywołać z pamięci, to sądzię, byłby to tekst wstrząsający. Wartościowy jako ważny, autentyczny dokument, prawda życia i czasu. Próbkę tegoż daje choćby jej wiersz „Komunistyczna dyktatura”, gdzie czytamy: „Świeże i w lepszym stanie trupy / szły jak woda do kulinarnej obróbki. / Każda roślina, gad i zwierz był jadalny”. A przecież życie pani Nadziei było bogate i w wiele innych doświadczeń. Może wartych utrwalenia?

Czesław Sobkowiak

Odejsie Poety

Benedykt Banaszak, *W lustrze pamięci*, Zielona Góra 2005, Regionalne Centrum Animacji Kultury, 60 s.

Żał to pisać, ale zamknęła się już karta kogoś, z kim łączyłem zawsze pozytywne skojarzenia. Już wszystko jest wiadome, gdy idzie o Benedykta Banaszaka. Nie będziemy świadkami jego powrotu do pisania, co często się zdarza twórcom, którzy długo, najczęściej ze względów zawodowych, milczeli. Urodzony w 1947 roku w Wilkowie koło Głogowa zmarł zaskakująco i nieoczekiwanie 20 września ubiegłego roku. W swoim dorosłym życiu był przede wszystkim adwokatem. Jednak w młodości, kiedy po studiach prawniczych w Poznaniu pojawił się w Zielonej, dał się poznać jako piszący wiersze. Jako jeden z nas, jednak nieco starszy, bliższy wtedy poetyce Orientacji. Był już po debiucie, miał publikacje prasowe na swoim koncie. Od razu potrafiłem z nim nawiązać na tej samej fali kontakt. Może dlatego, że wywodził się ze wsi i stanowić to mogło jakies mentalne dla nas ułatwienie konwersacyjne. Kiedyś jadąc autobusem do mojej miejscowości bawiliśmy się w wymyślanie pomysłów na wiersze. Nie był z tych, co to utrudniają swoim zachowaniem

porozumienie. To u niego lubilem. Bezpośredniość i życzliwość. Spotykaliśmy się w późniejszych latach przypadkowo w różnych miejscach Zielonej Góry - BWA, muzeum, teatrze, kinie. Korzystał z możliwości kulturalnego spędzania czasu jak mało kto. Lubił sztukę, fotografię, literaturę, muzykę. To były jego pasje życiowe. Czasami wpadałem na kilka chwil do kancelarii jego zespołu adwokackiego. Uważnie i wrażliwie można było z nim o tym i owym porozmawiać. Zdołał wydać za życia zaledwie jeden zbiór wierszy „W potrzasku myśli” (1976). Pojawiały się też jego utwory w miejscowych antologiach. Druga, a może pierwsza tylko w nim głęboko ukryta, była natura poetycka. Pamiętam jak szczerze czuł się usatysfakcjonowany, kiedy układając antologię poezji o winobranii nie zapomniałem o jego wierszach: „Rodne” i „Winiarka”. Jako poeta nie zdążył rozwinąć skrzydeł. Myślę, że bolał nad tym, bo jednak pisał i publikował bardzo rzadko. Te, które ukazały się we wspomnianym arkuszu cechuje coś ważnego, a mianowicie głęboki liryzm o dużym natężeniu. Można w tym głosie odczuć nie tylko więź ze swoim domem rodzinnym, ojcem, matką, wrażliwość na naturę, przywiązanie do rodowodu: „Blizna na dłoni każe pamiętać misterium / klepania kosa i lemieszka”, ale też zmaganie się z czymś trudnym, wynikłym z przywiązania do wartości, żeby nie powiedzieć bolesnym, w swoim wnętrzu. W jego wierszach pojawia się lęk o spełnienie, dobre spełnienie życiowych i uczuciowych marzeń. Są pytania o sens życia i jego duchowy kształt. Czy to ma być „grymas pozorowanej czułości”? Liryka Benka uzyskiwała w wielu miejscach błagalny ton. Nie chodziło mu o powierzchowny, retoryczny zwrot, szkicowe zaznaczenie obrazu, ale takie obrazowanie, które ma źródło w nim samym. Dotyczyło ono w znacznym stopniu wewnętrznych skutków wykorzenienia, nostalgii za sprawdzającą podmiotowe ja autentycznością, np.: „jak mnie ocenią bo ręce zbyt gładkie stopy bolące / gazeta podarta na strzępy odwrotu nie ma / więc nad rzekę pójde i przypomnę ciszę”. Dlatego mimo upływu lat brzmią jego wiersze przekonująco, są wyrazem wewnętrznych napięć, czyli tkwiących w nim antynomii - jak chce autor posłowania Wojciech Śmigieński - „jawy i marzenia”, dramatycznego szukania dla siebie właściwego miejsca. A szukał nie tylko miejsca „między” osaczającymi zjawiskami, ale i bliskiego człowieka w doznawanej miłości (wiersze dedykowane później żonie Barbarze) czy potwierdzenia sensu własnego życia w swoich synach prawdziwych „jak kropla krwi mojej”. Wyczytuję sobie rzeczy, które były dla Benka ważne. Nie tylko dla niego. Próbował poznać swoje życie poprzez różne sytuacje - wzruszenie, niezgodę na upokarzające sytuacje, zachowywanie wartości, konfrontacje z innymi, wypełnianie konieczności. W tym wszystkim tkwił nieobojętnie. Mimo że nie napisał zbyt wielu utworów, to jednak da się odczytać szeroki obraz jego człowieczeństwa. Udało się Banaszkowi wyrazić samego siebie. Został po sobie legendę, po prostu garść literatury. I pamięć swojej osoby, swoich poczynań, o których mówili na spotkaniu promocyjnym pośmiertnego wydania jego wierszy „W lustrze pamięci” jego żona, przyjaciele i koledzy. Z tego też powodu ten tekst. Książkę otrzymałem od pani Barbary. Cudownie, kiedy po śmierci twórcy właśnie żona potrafi zająć się jego spuścizną. Jakie to ważne i wielkie, kiedy ocala dokonanie męża. Taka postawa naprawdę godna pochwały i naśladowania. Bo na kogóż innego powinno się w takich okolicznościach w pierwszym rzędzie liczyć? A sama książka jest dość starannie wydana, ładny przede wszystkim druk, posłowie, zdjęcia, krótka biografia, dobry papier. Można się zastanawiać, czy akurat ten format został najszcześliwiej wybrany. Nie budzi też mojej wątpliwości, że brak strony przedtytułowej, to duże edytorskie uchybienie. Natychmiast zapachniało amatorszczyzną. Do tych kłopotliwych uwag zaliczyłbym też niezbyt staranne opracowanie strony redakcyjnej. Przydałoby się więcej informacji, co i kto. Przydałoby się pomyśleć czy te wszystkie zdjęcia, to akurat najtrafniejszy pomysł, podobnie z faksymilami wierszy. Ale to drobiazgi. Nie mają znaczenia, gdy idzie o istotę.

Czesław Sobkowiak